

DODATEK LITERACKI

Rzeczy Ciekawe

pod kierunkiem: Stanisława Brzechfy.

Niebezpieczne drzewo.

Znany przyrodnik norweski i archeolog, Karol Lumholz, odkrył bardzo niebezpieczne drzewo, które nazwał „Palo bavo”. Rośnie ono w górach Meksyku „Sierra Colienta”. Sok spływający z niego jest tak jadowity, że najmniejsze dotknięcie się drzewa wywołuje silną opuchlinę. Mieszkańcy zapewniają, że ludzi którzy spoczywali w cieniu tego drzewa, a nawet w pewnej od niego odległości, znajdowano nazajutrz w stanie nieprzytomnym, z twarzą i ciałem opuchniętym. Na szczęście, jest środek zapobiegający nieuniknionej i męczącej śmierci, wywołanej jadem Palo.

Leczenie polega na tem, że ciało chorego natychmiast oblepiają kłajstrem z krochmalu ryżowego, i w takim stanie chory przez tydzień powinien leżeć w łóżku. Godną uwagi jest okoliczność, że nie wszyscy ludzie ulegają w jednakim stopniu zgubnemu wpływowi Palo: podczas gdy jedni bezkarnie przepędzali całe noce w cieniu tego dziwnego drzewa, drudzy natychmiast puchną, i pokrywają się złośliwymi ranami.

Pewien europejczyk nie wiedzący o własności „Palo bavo”, zebrał leżące pod nim suche ga-

łęzie, i rozpałił ogień, żeby dymem rozpędzić owady: ale jeszcze ognisko nie rozgorzało, gdy twarz biedaka spuchła jak bania.

Przyczyna śmiechu.

Co to jest śmiech? Dlaczego ludzie się śmieją? Co ich pobudza do tego? — są to pytania, na które dotychczas niema zadawalającej odpowiedzi, Mowa tu naturalnie o śmiechu szczerym, przypadkowym, a nie wymuszonym. Śmiech szczerzy jest wtedy, gdy go wywołują przyczyny zupełnie od nas niezależne.

Są ludzie którzy posiadają dar rozśmieszania innych. Ale najlepszy wesołek niezawsze jest pewny swego powodzenia. Często śmiejemy się wbrew naszej woli. Czujemy, że nasz śmiech jest nie na miejscu, usiłujemy go stłumić, lecz wysiłki nasze nie zawsze uwieńczone zostają pomyślnym skutkiem.

Niema człowieka, któryby się nie śmiał na widok jakiegoś przechodnia, który upadł na ulicy. Niekiedy jest to nasz serdeczny przyjaciel, niekie-

4.

Pod grozą śmierci.

Opowieść marynarza

c. d.

Pomimo że nie straciłem zupełnie przytomności, czułem, że odchodzę od zmysłów. Knot świecy wydłużał się coraz bardziej i coraz bardziej zmniejszała się odległość pomiędzy płomieniem a lontem, od którego zależała długość mego życia. Obliczyłem, że przed upływem półtorej godziny wszystko się skończy...

Półtorej godzinyl. Czy można było przypuszczać, aby w ciągu tego krótkiego czasu statek jakiś przyszedł od lądu na pomoc brygowi? Gdyż, bez względu na to, czy wybrzeże, w którego pobliżu bryg stał na kotwicy, znajduje się w rękach przyjaciół, czy nieprzyjaciół, z pewnością będzie dostrzeżony i ktoś przybędzie na zwiady. Tylko czy to się nie stanie zapóźno?

Słońce jeszcze nie weszło, jak to mogłem widzieć przez szparę we drzwiach. Gdybym miał przed sobą ze sześć godzin, licząc od wschodu słońca, mógłbym żywić jakąś nadzieję; lecz liczyć na pomoc w ciągu półtorej godziny, a nawet tylko pięciu kwadransów, o tak wczesnej porze, w miejscowości bezludnej, było szaleństwem.

Przyszedłszy do takiego przekonania, postanowiłem raz jeszcze spróbować potargać więzy. Skorzystałem tyle tylko, że sznury głębiej jeszcze iwpłyły się w zbolałe ciało. Zaprzestałem walki i nie poruszałem się, nasłuchując odgłosu wiosła...

Wszystko już ucichło, Słyszałem tylko pluskanie ryb, rzucających się od czasu do czasu na powierzchnię wody, i trzeszczenie zgrzybiałych masztów starego brygu, który przechylał się leniwie z boku na bok, kołysany lekką falą...

Upłynął znów kwadrans... Knot wydłużał się straszliwie, zwęglął się na końcu, grubiał, przybie-